

Diabelli Variationen¹

1.

W zbiorze esejów *Kinderszenen* Jarosław Marek Rymkiewicz przywołuje najwcześniejszy zapamiętany okres swego życia, kiedy miał zaledwie cztery lata, a czas zlatywał w ciepłej, spokojnej, rodzinnej atmosferze. Wspomnienia te zestawione zostają z czasem nieco późniejszym, krwawym i bezwzględny. Jest to opowieść o pamięci dziecięcej, a więc nastawionej na epizody, bo prawda ludzka – pisze poeta – a prawda dziecięca w szczególności, składa się „z wielu półprawd, ćwierćprawd, z kawałków różnych prawd, z ich odłamków” (s. 6). Taki też jest zbiór Rymkiewiczowskich tekstów – składają się na niego niezależne całości, spięte tematyczną klamrą „sceny dziecięce”.

I to byłby pierwszy – tragiczny, ale nie wzbudzający najmniejszych kontrowersji – temat tej książki: dzieciństwo zepsute wojną.

Kinderszenen są wszakże czymś więcej niż wzruszającym zbiorem dziecięcych wspomnień. To coś w rodzaju traktatu historyzoficznego. Choćby sam tytuł – zapożyczony od Roberta Schumanna, autora zbioru miniatur fortepianowych. Rymkiewicz, miłośnik niemieckiej muzyki romantycznej, zestawia bezpretensjonalną delikatność utworu z barbarzyństwem wojny. Dziedzictwo niemieckiej kultury skontrastowane zostaje z bestialstwem Niemców w czasie wojny.

Pieśń to bardzo stara, ale ciągle wygrywana. Jak naród (czy „plemię” w rozumieniu Hansa Franka, przywoływanego nieraz przez Rymkiewicza), który wydał Goethego, Schillera, Beethovena, Mozarta mógł się dopuścić takich zbrodni? Bardzo dynamiczne i atrakcyjne retorycznie zestawienie, zwłaszcza dla łowców wzniosłych uogólnień. Ta tradycja myślenia przychodzi na myśl przy lekturze tekstu. Czy muzyka Wagnera nie ma w sobie aby czegoś niepokojącego? A filozofia Fryderyka Nietzschego?

Cała książka Rymkiewicza zdaje się niestety niesprawiedliwym historycznie uogólnieniem.

„Zdaje się, że za szybko i za łatwo przebaczyliśmy Niemcom. W historii są takie rzeczy, których się nie przebacza – nigdy, bo nie ma powodu, żeby przebaczać. Hierarchowie Kościoła i premierzy kolejnych polskich rządów nie powinni o tym zapominać – żeby przebaczać, trzeba mieć upoważnienie; nie od Boga, bo Bóg nie ma tu nic do rzeczy, lecz od Polaków, a takiego upoważnienia nikt nikomu nie udzielił i nie udzieli” (s. 156).

Nieco wcześniej Rymkiewicz opisuje rozstrzelanie rannych w szpitalu. Po takim passusie myśl faktycznie się kłębi i sami się trudno rozpoznajemy we własnych reakcjach.

¹ Wszystkie zamieszczone w recenzji cytaty pochodzą z książki J.M. Rymkiewicza, *Kinderszenen*, Warszawa 2008. Lokalizuję je w tekście głównym, w nawiasie podaję numer strony.

Trudno się zdystansować od opisów bestialstwa. Na usta ciśnie się wszakże pytanie: o jakich Niemców chodzi Rymkiewiczowi – tych rozumianych plemiennie – tak, jak ich chciał widzieć gubernator Frank, a więc przynależących rasowo do narodu, któremu z rozmaitych racji należy się więcej niż innym narodom? Czy może chodzi o tych konkretnych osobników, którzy mordowali, plądrowali, gwałcili, strzelali do chorych w szpitalu? A może to sprawa dowódców, wszak to oni nakazywali szeregowym żołnierzom niemieckim dokonywać nikczemnych czynów? Co więcej, ów wyrzut związany z nazbyt szybkim przebaczeniem można jeszcze skierować ku Niemcom współczesnym. (Rymkiewicz zawsze pisze Niemiec, nigdy – nazista, hitlerowiec. Czasem wymiennie stosuje słowo Krzyżak). I taka jest jedna z konkluzji tej książki. Niemiec – bestia, Niemiec – sadysta z powstania warszawskiego i Niemiec współczesny (Niemiec – polityk, Niemiec – obywatel Unii Europejskiej) – wszyscy oni zdają się odpowiedzialni za rzeź sprzed lat sześćdziesięciu z górą. Takie odnosi się wrażenie z lektury. Przy okazji wyliczania wyrazów w czasie okupacji zakazanych znajdujemy taki cytat:

„Podobnie było też z Warszawą – konto czekowe redakcji umiejscowione było w mieście Warschau. Dozwolony był natomiast (z niejasnej dla mnie przyczyny) Piłsudski, bowiem adres redakcji »Kuriera« podany jest w takiej formie – »Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93« (s. 143).

Po czym następuje mało smaczny, żenujący prawdę mówiąc dowcip:

„Spróbujcie tam zadzwonić, może ktoś się jeszcze odezwie – jakiś wielbiciel wspólnej Europy pod niemieckim zarządem” (s. 143).

Tego nie wymyślił zahukany chłopczyk z okładki, przyglądający się poźodze. Dla Jarosława Marka Rymkiewicza przynależność do narodu zdaje się oznaczać automatyczną odpowiedzialność za historię, zwłaszcza za tę okrutną, a szczególnie za tę skierowaną przeciw nam – Polakom. Rymkiewicz bardzo wysoko stawia poprzeczkę – nie daje żadnej szansy, jaką daje na przykład przynależność do Kościoła, w którym poprzez chrzest można się oczyścić z grzechu pierworodnego – a więc z winy nie przez siebie zawinionej.

W ducha niemieckości wpisany jest pewien rodzaj barbarzyństwa. Nas nie byłoby stać na mordowanie rannych w szpitalach, masowe i metodyczne eksterminacje, my, Polacy, nigdy nie wymyślibyśmy tej diabelskiej sztuczki z czołgiem-pułapką. Tak ohydny pomysł ujawnia „odwieczne (odwiecznie potworne) cechy narodu niemieckiego” (s. 225). Rymkiewicz przywołuje tu powojenny sposób myślenia bezpośrednich świadków tego piekielnego wydarzenia, ale wydaje się, że to myślenie jest mu dość bliskie. Kolejna pseudoheglowska próba uogólnienia. Gwoli uczciwości – wszyscy łapiemy się czasem na podobnych myślach – niesprawiedliwych, ale wywołanych emocjami. Lubimy Rosjan, naszych osobistych przyjaciół, ale burzymy się na ich politykę imperialną (i jawnie antypolską), nienawidzimy ich zakłamania względem zbrodni w Katyniu (nienawidzimy tego, że oni nie nazywają tego zbrodnią). Rosjanie pewnie lubią nas, Polaków, ale być może nienawidzą w nas tych dążeń do niezależności. Nienawidzą nas za Katyń, pewnie wstyd każe im nas za ten Katyń nienawidzić, bo wstydem jest strzelać oficerom w tył głowy.

My ich zmuszamy do mówienia o Katyniu, oni, gdyby jednoznacznie się przyznali, przyznaliby się do braku honoru. Katyń to rosyjski wstyd – i Rosjanie wiedzą o tym dobrze, ale przyznać się... – byłoby to zupełnie nielogiczne, przede wszystkim z politycznego punktu widzenia. Zdarza mi się na rynku spotykać sprzedających mydło i powidło Rosjan, spotykam Azerów (ich krajanie stanowili główną siłę oddziałów Diliwanger), ale nie czuję do tych ludzi niechęci za Powstanie Warszawskie, listopadowe, styczniowe, nie domagam się przeproszenia.

Wydaje mi się, że argumenty przywoływane przez Rymkiewicza są mocno politykierskie – nie ze względu na dyskutantów, lecz wyznawców. Jak każde stanowisko skrajne, ów osąd żadną miarą nie może zostać poddany pod dyskusję, wymaga stanowiska skrajnego – bezwzględnej akceptacji lub odrzucenia.

Zatrzymajmy się z kolei przy Rymkiewiczowskiej ocenie Powstania Warszawskiego. Zdaniem autora książki zostało ono wygrane, rzecz jasna nie w sensie politycznym czy militarnym, ale moralnym. Przede wszystkim umocniło tożsamość narodową, zakiejkowało na przyszłość. To wydarzenie, niczym chrzest Polski, jest ważne w pewnych szczególnych dla narodu chwilach – wówczas historia powstania, jego mit działają stymulująco na nas, Polaków. Oto naczelna wartość warszawskiego zrywu.

Czy Powstanie Warszawskie było potrzebne i czy cokolwiek dało? Dyskusja toczy się od dnia kapitulacji. Rymkiewicz twierdzi, że tak, ale ważne jest i to, że tym razem jego argumenty można poddać pod jakąkolwiek dyskusję. Trochę wbrew sobie, na przekór teżom wyłożonym w rozdziale o *Zającu* Dygasińskiego, wbrew „zbójcekiemu” charakterowi *Anhellego*, lektury, którą truła go matka w dzieciństwie – pomimo tego wszystkiego poeta proponuje romantyczną z ducha wizję myślenia o wolności – setki tysięcy wymordowanych w męczarniach istnień ludzkich przeciwko idei moralnego, duchowego zwycięstwa i pocieszenia w przyszłości. Położenie na szali realnego ludzkiego życia oraz tego, by dzięki tej hekatombie naród jeszcze bardziej „odnalazł się w swym jestestwie”. Problemem jest, czy te dwie wartości można w ogóle ze sobą zestawiać. Czy życie ludzkie można zestawić z ideą, nawet ideą najszlachetniejszą. Pewnie można, bo tak się czyni – śmierć, zwłaszcza ta śmierć bezimienna, zyskuje wówczas wartość, staje się wzniosła i potrzebna.

Stawianie jednak na szali ludzkiego życia (a ono jest według powszechnie akceptowanych norm wartością najwyższą) i idei, nawet idei najwartościowszej, wymaga daleko większej finezji argumentacyjnej. U Rymkiewicza tego nie dostrzegam. Dostrzegam epatowanie toporną bezwzględnością (vide fragment przywołujący zdanie Czesława Miłosza, opatrzony bezrefleksyjnym, grubiańskim komentarzem).

Po tym, co pisałem wyżej, może się wydawać, że swój sposób postrzegania rzeczywistości Jarosław Marek Rymkiewicz opiera na dyskusyjnych, apodyktycznych, trudnych do zaakceptowania podstawach. Tymczasem z kilku rozdziałów książki wynika coś zupełnie innego – coś, co przeczy zupełnie tej nieprzejednanej konsekwencji w ocenach ludzkich zachowań. Jak to jest z tym Losem? Jaka instancja stoi za tym, że ktoś ma prawo oceniać kogoś innego? Tą instancją winien być jakiś porządek rzeczy, oparty

na jakiegokolwiek podstawie, byle trwały, byle niezmienny. Kiedy Rymkiewicz ocenia Niemców, kiedy z dezaprobatą przywołuje stanowiska wątpliwych w sens zrywu powstańczego, wówczas nie ma żadnych wątpliwości, że taki porządek dla niego istnieje.

2.

„Czy widzieliście raki wystawione na sprzedaż i niewiedzące o tym, że są na sprzedaż? Czy widzieliście raki w skrzynkach i niewiedzące o tym, że są w skrzynkach? Czy widzieliście raki transportowane, raki w drodze, ale nie wiedzące o tym, że są transportowane, że to jest transport i że ktoś coś transportuje? To tam, w tych skrzynkach, jest cała wiedza o życiu, jaką można posiadać – tam jest wszystko to, co można o nim i co należy wiedzieć. (...) Życie w skrzynkach było czymś, co im wystarczyło, i nie liczyły na jakieś inne życie. Ruch, który odbywał się w skrzynkach był ruchem z góry na dół i z dołu do góry, a także ruchem ukośnym i ruchem kolistym. Raki krążyły, wchodziły między inne raki i wyłaniały się spośród innych raków, chodziły po rakach i pod rakami, wysuwały swoje szczypce i wąsy przez szpary między deskami, z których były zbite skrzynki, a potem znów je chowały, przeciskając się między innymi rakami – zawsze w dół lub w górę, zawsze na ukos albo w koło. Wszystko to było niezborne, chaotyczne, ślepe. Czy raki wyjęte z wody są ślepe? Czy widzą tylko wtedy, kiedy zanurzą się w wodzie lub w mule? Może tak właśnie jest, tego nie wiem” (s. 199).

Może więc nasze życie nie ma sensu, może nie tylko zwierzęce, ale i nasze działania naznaczone są absurdem? Tak zdaje się twierdzić Rymkiewicz. Determinizm i przeznaczenie – gdyby matka nie zamęczała poety w dzieciństwie czytaniem *Anhellego*, pozwoliła zaś na lekturę *Zająca* Adolfa Dygasińskiego, wówczas zrozumienie rzeczywistości przyszłoby dużo łatwiej.

Ale skoro tak – skąd u Jarosława Marka Rymkiewicza tak ostra i nieprzejednana ocena ludzkich działań? Skąd predylekcja do tak niesprawiedliwych uogólnień, zgłaszanych zwłaszcza pod adresem Niemców? Jeżeli naszym życiem faktycznie rządzą ślepe siły, kto nam daje prawo do oceny innych? My nie mamy prawa oceniać, nikt nie może nas rozliczać – bo niby na jakiej podstawie?

Nawet jeśli pisząc o absurdzie życia ludzkiego, Rymkiewicz używa trybu przypuszczającego, to i tak owa sprzeczność zdaje się aż nadto widoczna.

To byłaby druga bardzo słaba strona tego mało wartościowego tekstu – zjadliwe ataki z jednej strony i stojąca z nimi w sprzeczności filozofia absurdu. Ale zwłaszcza zajadłość. Trudno to oczywiście uznać za niespodziankę – nie tylko w *Wieszaniu*, ale również w publicystyce doraźnej, także w wywiadach gazetowych, niejednokrotnie już poeta wyjawiał mroczne strony swego intelektu.

Smutna starość wielkiego poety i przykra konstatacja dla kogoś, kto jeszcze na studiach zachwycił się książką o ostatnich chwilach Juliusza Słowackiego, a książka ta stała się jednym z kilku zaledwie arcywzorców spojrzenia na literaturę, pisaną o niej.

Jarosław Marek Rymkiewicz, *Kinderszenen*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008.